



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.
Biuro Redakcyi Mazowiecka Nr. 8.

RODZINA RYBACKA.

Już rybak z burzliwą falą,
Z wichrami idzie w bój,
Już jękiem dna mórz się żalą,
Łka niebo, huczy źródół.

Rybaczko, od zórz zarania
Patrz w czarną noc i w dzień,
Czyli się wśród mórz nie słania
Znajomój łódki cień?...

Ucz dziatwę, jak łódź poznawać,
W oddali ojca łódź,
Gdy siły chcą ci ustawać,
Nadzieję siłę cuć.

A gdy już niebieskim stropem
Zachwieje wściekłość burz,
I strzeli piorunów snopem,
Ty z dziatwą ręce złóż:

Ty módl się za łódkę drogą,
Któż wytrwałby wśród mąk,
Jeśliby nie miał do kogo
W czas burzy składać rąk...



Rodzina rybacka.

KRÓLEWICZ-TULACZ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

przez M...a.

(Dalszy ciąg).

— Dosyć tego! czyniliśmy wszystko, co było można; wracamy bez Svenssa, jeżeli nie mamy wszyscy pójść za nim! — rzekł Svensson, rybak surowy i sam już niezbyt młody, wskazując na straszliwą ławicę chmur, zjawiającą się na widnokręgu. Svensson po kilka razy wracał do wody, szukając ojca, a potem opływał łódką dalekie kregi, w myśli, że może go dalej uniosły fale, a teraz stawał na czele rybaków, czując, że obowiązki ojcowskie spadły na niego.

Twarde dusze rybaków nieskore są i nieskłonne do poddawania się wzruszeniom. Lyks, najstarszy wiekiem po Svensie, powstał w łodzi swojej, odkrył głowę, i ręce obie wyciągnął ponad fale, a siwą głowę wznosił w niebo; wszyscy uczynili toż samo: cicha modlitwa bratnia spadła jak wieńczyk na wilgotny grób, który dopiero co pochłonął Svenssa, i rybacy posunęli ku domowi. A gdy łódź Svenssona wyprzedziła już inne, aby im przewodniczyć, a w niej Gustaw wpół zmartwiał tym, co zaszło, nie mógł widzieć, co działo się za jego plecami, wtedy wszystkie pięści rybackie podniosły się, grożąc mu ze złością, tym zacieklejszą, że bezsilną, i stary Lyks powiedział:

— Ta rzecz niepojęta ze Svenssem stała się przy pierwszym wstąpieniu tego chłopca na słoną wodę; ci z nas, którzy ujrzą jeszcze swe chaty i wrócą do ognisk swoich, niech nie puszczają się z nim na wodę po raz drugi!

Odpowiedziały mu tylko gesta twierdzące, a potem dwadzieścia kilka łodzi płynęło dalej w ciągłej walce z burzącym się żywiołem, za pierwszą łodzią, która w rybaków przekonaniu wiodła ich do zguby, ponieważ Gustaw w niej siedział. Wszystkie dawne uprzedzenia do chłopca, który niewiedzieć z kąd wziął się na wybrzeżu, wróciły ze zdwojoną siłą. Pomimo chrześcijańskiej wiary, stare przesady panują potężnie u norweskich rybaków. Jeżeli w owej chwili pierwsze lepsze wiosło nie roztrzaskało głowy Gustawa, to tylko dla tego, iż w przekonaniu ich, niktby nie zdołał pokonać tej tajemniczej istoty. Lękano go się tak bardzo, że nie śmiano nawet przenieść go na inną łódź, aby w przodującej płynąć, nie powiódł tempredziej wszystkich innych na zgubę.

Nienawiść wraz ze strachem wzrastała ciągle, a gdy narreszcie przybito do brzegów, prawdziwe zdumienie ogarnęło rybaków, bo sądzili, że zginąć byli powinni. Kobiety stały na najwyższych skałach nadbrzeżnych w okrutnym niepokoju, wyczekując tam oddawna powrotu mężczyzn, jak za każdą wyprawą. Już z daleka znaki umówione rybackie zawiadomiły wyczekujących, że jeden z tych, którzy popłynęli, nie wróci. A gdy najpierwsza łódź zbliżyła się o tyle, że można było ujrzyć Svenssona zamiast Svenssa u steru, głuchy jęk rozległ się wśród gromadki kobiet i dziatwy na jednej ze skał: wiekowa niewiasta zeskokczyła z niej, jak dzika koza i rzucając się na sieci, których Svens używał, oblewała je łzami, dochodząc do szarów dziękującej rozpacz w tej strasznej chwili, której ze drżeniem oczekiwała od lat czterdziestu za każdą rybacką wyprawą. Dzieci, wnuki i krewni szlochali gwałtownie, ale ręce tymczasem wśród najgorętszej boleści już wyładowywały bogaty połów i natychmiast rozpoczęto zwykle przygotowania do suszenia ryby, która przecież czekać nie może... Izy musiały oschnąć prawie zaraz, aby w suszeniu ryb nie przeszkadzały. Gustaw układał popłatane na dwie połowy sztokfisz na płaskiej powierzchni skały pod kierunkiem Svenssona wraz z innymi, nie widząc zgrozy, jaką wzniesła wśród usuwających się odeń rybaków.

— Spójrzycie na jego ręce! czy widzieliście kiedy u człowieka takie ręce, jakby ze śniegu, albo z wełny młodego jagnięcia białego zrobione?... — mruczał jeden z otacza-

jących, i słusznie, bo ręce Gustawa, mimo ciężkiej rybackiej pracy, nie podobne były do rąk innych rybaków.

— A taki rozum, czy widzieliście kiedy u dziecka? i siłę taką?

— A takie drobne nóżki, któreby tak pięć się po skałach po ptasiemu umiały?

Tak szeptali rybacy i usuwali się od mniemanego karła, z którym stosunek musi przynieść człowiekowi nieszczęście, bo złośliwe karły, kujące metale pod ziemią w skalistej Norwegii, istoty wstrętne i czarne, gdy wychodzą ze swych jaskiń, umieją czasem przybierać i piękne postacie, byle nieszczęścia ludzi nabawić. A tym uwagom zaprzeczali inni:

— A właśnie że nie, to tylko elfy, mieszkający w powietrzu, piękni bywają, i dla tego ja zawsze powiadam, że to musi być elf, który na skutek jakiejś ze Svenssem umowy zagnieździł się pod jego dachem, a teraz, gdy Svenssa niema, zobaczycie, że coś się stanie!...

Jakoż stało się tyle przynajmniej, że mały Gustaw, straciwszy dwóch jedynych przyjaciół, Sokołka i Svenssa, zdziczał do reszty, i stał się témbardziej do istoty obcej, zabłąkaną wśród rybaków podobny. Dawniej Svens kazał mu pracować, jak własnym wnukom i jednakowo się z nim jak z niemi obchodził, teraz nikt niczego nie żądał od dziwnej istoty, tylko aby zeszła z oczu ludzkich: niepojęte nieszczęście, zaszło ze Svenssem przy pierwszej wyprawie Gustawa na słoną wodę, postanowiło o losie chłopca, żaden rybak odtąd nie stąpiłby na słoną wodę w towarzystwie podejrzaną istoty.

Usuwanie się od chłopca w milczeniu, nie żądając nic, ale nie ważąc się odmówić mu strawy, dachu lub odzienia. Pracy i serca nie dawano tylko, bo wedle przesady, praca złej istoty przynosiła nieszczęście, a serce trudno było mieć dla niej. Ponura groza, wiejąca od ludzi, otaczała chłopca w dodatku do grozy natury. Z początku rad był, że nie kazano mu pracować, później, poczuwszy dziwne swe odosobnienie, wołałby był, aby obchodzono się z nim surowo, ale tak, jak z każdym rybackim dzieckiem, jak Svens się z nim obchodził. Ale Svenssa nie było i ciężka dola rybaczego dziecka, upragniona teraz dla nieszczęsnego chłopczyny, już niedostępna dlań była.

Zawsze myślący i pełen przeróżnych uczuć i instynktów nieznanym rybackim dzieciom, co go też właśnie od nich wyróżniało, Gustaw teraz całe doby przepędzał wśród skał, szukając czegoś, z czego sam sobie sprawy zdać nie umiał, i wracając do chat tylko przyciśnięty głodem lub mrozem. Gdy znikał na dłuższy czas, nadzieja ogarniała osadę, że „obcy duch” nie wróci może; gdy wracał, zdawało się, że ciężar spadał znów na wszystkie piersi. Gustaw, dzieciak wychowany wśród ludności zaledwo umiejacej wyrażać swe myśli, nie umiałby był powiedzieć, co czuł, ale niemniej czuł, że coraz ciężiej i jemu było żyć na świecie. Nie wiedział dobrze, czego szukał, choć zawsze włóczył się, i wspinał, i pęzał wśród najstraszniejszych skalistych przepaści, nad temi zaułkami morskimi, zatoczkami, z głębin których nic nie powraca. Pierwsze jego wspomnienia w życiu do takiej odnosiły się miejscowości i wśród takich snuł się teraz dniami i nocami. Wstręt coraz silniejszy ogarniał go do powrotu do osady, z kąd czuł się odpychanym, głód dokuczał coraz częściej, aż raz pomyślał chłopak, stojąc nad przepaścią morską:

— W taką przepaść wrzuciłem Sokołka, w taką śnać wpadł Svens, i mnie w taką wrzucić chciało, widać, że powinienem pójść za Sokołkiem i za Svenssem — i zamierzał skończyć w głębinie, gdy silna ręka pochwyciła go za ramię.

III.

Duch pychy.

Gustaw osłupiał z podziwu, bo nieznaną osobą w dziwnym odzieniu stał przy nim; przez chwilę przypatrywali się sobie wzajem z uwagą, aż chłopak krzyknął:

— Aha! to ja ciebie szukałem, to ty miałeś wrzucić mię w przepaść zawiązanego w worku i nie wrzuciłeś! Ach, ach! teraz przypominam sobie wszystko, ja jestem z pewnością synem króla, może króla karłów podziemnych?... a tyś czyjś słuzalec? wróg jakiś ojca mego, pewno król elfów powie-

trznym przekupił ciebie, służalcze, abyś mię zgubił! Czy tak? mów! czy tak?

— Prawie że tak... — mruknął niechcący sam do siebie nieznajomy, patrząc wytrzeszczonemi z podziwu oczyma na dziecko, w którego wymyśle poplątały się wspomnienia własne z rybackimi przesadami, przystosowanemi do niego samego, co nieraz głucho obijało mu się o uszy. Prawie że tak...

— Tak? a widzisz! i tu mię między ludźmi ukryłeś? a teraz przychodzisz, aby mię odprowadzić do ojca króla? Czy wróg nasz zwyciężony? A może zginął ojciec mój... i lud powołuje mię na tron? śpieszmy! pójdź! wszak wyjście jest pewno przez Karłą-skałę? ja się tego domyślałem, ale nie umiem zejść, pójdź, pokaż drogę, wszak właśnie przyszedłeś z téj strony...

Nieznajomy patrzył na dzieciaka tak, jakby powątpiewał o jego zdrowych zmysłach lub o swoich, a dzieciak ciągnął go nad czarną skałę. W rozpadlinie ję głębokięj, bezdennej na pozór, błyszczało czerwone światło, jedno z tych zjawisk przyrody, jakie zdarzają się w krainie dziwów północnych; Gustaw wskazywał mu to światelko, ale nieznajomy patrzył na okręt, stojący na kotwicy na morzu.

— Czy tam jest kuźnia nasza? którędyż zejdziemy?... — pytał Gustaw żywo, przekonany teraz, że jest synem króla karłów *dwegarsów* czy *drewsów* podziemnych.

— Stój! — rzekł nieznajomy — ojciec twój zginął istotnie w walce z przeciwnikiem swoim, ale lud nie powołuje ciebie na tron, bo przeciwnik go zajął, lud nie chce znać ciebie, i śmierć ci grozi. Ja tu przybywam, aby uiścić zapłatę Svensowi za wyżywienie ciebie; płacić będę, dopóki nie będziesz w stanie sam zapracować na siebie, a potem pracuj i żyj tu w dzikięj swobodzie, jeżeli żyć chcesz, gdzie indziej niema miejsca na świecie dla syna twojego ojca. A teraz pójdź, niech rozmówię się ze Swensem, niech się dowiem kto, i jakim sposobem, i ile odkrył wam prawdy... bo przecież Svens ję odemnie nie wiedział.

— Svens utonął, niema Svensa — rzekł chłopak.

— A więc rozmówię się z innymi rybakami w osadzie.

— Po co? ja nie chcę zostawać tu dłużej! Jeżeli przymoc pozbawiła mię ojca i tronu, to ukarzę przywłaszczycieli i zdobędę należną mi spuściznę; będę przynajmniej wiedział, co mam robić na świecie; przed chwilą nie wiedziałem tego i chciałem już zakończyć z tém życiem...

— Ach! czemuż przybyłem w téj chwili właśnie i przeszkodziłem ci? — mruknął nieznajomy.

— Toś ty taki przyjaciel! — rzekł chłopak.

— Tak, jakim twój ojciec był dla wszystkich moich...

— Tak?... to trzeba było wrzucić mię w przepaść wtedy... wiesz?...

— Jam nie zbrodniarz.

— To idź precz, a sam rzucę się w przepaść! — krzyknął chłopak z gniewem. Ale nieznajomy chwycił go znów gwałtownie za ramię:

— Nie mogę na to pozwolić, przysięgłem — mruknął... był on błądliwy i drżał, oglądając się niespokojnie, przekonany, że osobistość Gustawa została odkrytą jakimś wypadkiem na tém wybrzeżu, nie wiedział sam na razie, co począć, aby jego i siebie ocalić, i przysiędże swój zadość uczynić. W początku rozmowy wziął wzmianki zabobonne Gustawa za jakiś rodzaj obłądzenia, ale prędko poznał, że się omylił, i że chłopak przebiegły i świadomy swego pochodzenia używał tylko umyślnie tajemniczo-bajecznych wyrazów, aby niemi osłonić myśli swe, i łatwiej porozumieć się z obcym mu człowiekiem. Tymczasem Gustaw, chłopak na wpół dziki, a więc pełen potężnych porywów namiętności, a przytém kierowany instynktem, i wspomnieniami, i przeczuciami, jak człowiek pierwotny prawie, czytał tę twogę i wahanie się nieznajomego na jego twarzy:

— A więc, wskaż mi tylko drogę do *moich*, a dopełnisz przysięgi! — zawołał.

— Bezpieczniejszy będziesz, gdy zawiozę cię dalej jeszcze, na kraniec północnego świata, gdzie nie doleciała jeszcze wieść o nieszczęściach Szwecyi; tam ty będziesz mógł żyć nieznany:

— Nie chcę! Nie będę żył jak ostryga nieruchoma, przyczepiona na zawsze do skały! Ja chcę walczyć, zwyciężyć i pomścić krzywdy swoje, zaprowadź mię do *moich*, albo krew niewinna niech spadnie na ciebie! — To mówiąc, Gustaw zamierzył się do skoku w przepaść, a ogień płonący w jego oczach ręczył za szczerłość słów:

— Nie! niechaj krew pada na kogo chce, byle nie na mnie, ja dotrzymam przysięgi, co zrobiłem dla dziewczyny, zrobię i dla chłopca: pójdź do swoich i giń, pyszny duchu! — krzyknął z gniewem nieznajomy, i po raz trzeci schwyciwszy dzikiego chłopca już nad przepaścią, zbiegł z nim ze skały śpiesznie i oglądając się na okół. Szczeliną skalistą dostali się do ujścia jednęj z mnóstwa rzeczek, wytryskujących ze skały i ginących w morzu, stała tam szalupa, i kilku majtków nabierało wodę dla okrętu, stojącego dalej na kotwicy. Zanim zbliżono się do majtków, towarzysz rzekł cicho do Gustawa:

— Okręt ten pływie do Brunsbergu, znajdziesz tam swoich, ale pamiętaj, że chwila, w której przyznasz się do krwi, jaka wre w twych żyłach, będzie chwilą twęj zguby, ponieważ tamta krew, którą niegdyś niesprawiedliwie przelano, żąda krwi twojęj, woła o pomstę do Boga!

W godzinę później Gustaw znajdował się na okręcie, jako domownik pana Walda, kupca z Brunsbergu. Zaledwie odpowiedziałwszy na pytania pana Walda w chwili, gdy okręt podnosił kotwicę, Gustaw zwrócił się ku temu, kto go wprowadził tutaj, ale nieznajomego już nie było przy jego boku. Napróżno szukał i pytał o niego chłopiec, nieznajomy znikł, a przynajmniej musiał nie znajdować się na okręcie, bo nie ukazał się wcale przez cały czas podróży dwutygodniowęj przeszło, gdyż zatrzymywano się przy wyspach Szetlandzkich. Przekonawszy się o jego nieobecności, Gustaw uniósł się gniewem właściwym jego naturze. On sam nic nie rozumiał z tego, co się z nim działo, ale pewien był, że miał prawo do usług i wierności nieznajomego, a przytém miał pytać go o tysiące rzeczy, dotyczących ojca, i przeszłości, i tego tronu, który uroił mu się w wyobraźni niejasno wcale, chociaż to urojenie potwierdzone było niejednem słowem mniemanego służalcza w owęj nad przepaścią rozmowie. A każde takie słowo wyrzuciło się w świeżęj pamięci chłopca, jakby na kamieniu. I groźby zatém były tam wyrzute, te groźby zguby w razie przyznania się do krwi, która wrzała w żyłach jego. Rozumiał on je, i dla tego, nie mogąc pytać nieznajomego, zamilkł, rozważając tylko jego słowa i rozumiejąc je coraz inaczej, w miarę, jak poznawał świat nowy, w którym się znalazł, opuściwszy skały norwęskie.

Był to oczywiście świat pełen dziwów niesłychanych dla rybackiego wychowanka. A jednak Gustaw pojmował ten świat tak łatwo, jakby to nigdy być nie mogło z prawdziwem dzieckiem rybackiem.

(d. c. n.).

PANNA BARBARA.

KOMEDYJKA W JEDNÉJ ODSŁONIE.

OSOBY.

JADZIA lat 13 }
ADAŚ lat 12 } rodzeństwo.
PANNA BARBARA, osoba w średnim wieku.

(Scena w bawialnym pokoju na wsi).

Scena I.

JADZIA (sama).

JADZIA (chodzi po pokoju z kąta w kąt i porządkuje na stolikach).

Pociąg już niezadługo nadejdzie. Chciałabym, żeby ję się tu odrazu wszystko podobało. A jednak troszkę jestem niespokojna, ten przypisek mamy tak mnie zadziwił.

Scena II.

JADZIA, ADAŚ.

ADAŚ (wbiegając szybko).

Już konie wysłane na stacyą, lepij, że poczekają trochę, niżby się miały spóźnić. Obaczmy więc nakoniec tę tajemniczą pannę Barbarę.

JADZIA.

Dla czegoż ją nazywasz tajemniczą?

ADAŚ.

No, bośmy o niej całkiem odmienne mieli wyobrażenie, a ten ostatni list mamy...

JADZIA.

To jest ten przypisek; przyznam ci się, że mnie to ogromnie zdziwiło i nawet w pierwszej chwili przestraszyło troszeczkę.

ADAŚ.

O, ja tam nie taki jestem tchórzliwy.

JADZIA (wesolo).

No, i ja przecież za tchórze uchodzić nie chcę; zresztą w głowie mi się pomieścić nie może, żebym się miała obawiać panny Barbary, tej panny Barbary, która taka była dobra dla naszej mamy, którą ona tak kochała i kocha zawsze.

ADAŚ.

Przyznam ci się, że ja nawet nie wiem dokładnie, co to tam było między nią i mamą, słyszałem o tém, ale mi z głowy wyleciało.

JADZIA.

O, mnie nie wyleciało z głowy i kocham pannę Barbarę, chociaż jej nie znam. Wiesz, że biedna nasza mama straciła obojga rodziców, mając ośm lat zaledwie. Opiekun oddał ją na pensyą i nie bardzo się o nią troszczył; a trzeba i to wiedzieć, że mama za życia swoich rodziców była bardzo pieszczona, jako jedynaczka i do tego dość wątłego zdrowia. Możesz sobie wyobrazić, co się działo z mamą, gdy się dostała na tę pensyą i ujrzała się samą jedną wśród obcych.

ADAŚ.

Biedna mateczka. Ja chłopak jestem i znacznie starszy, a kiedy mnie ojciec odwiózł pierwszy raz do Warszawy i zostawił na stancyi, to mi tak było okropnie, tak okropnie... no, dość powiedzieć, że płakałem po kątach. A jednak ja wiedziałem, że na święta i na wakacje pojedę do domu, zastanę tam ojca, mamę i ciebie.

JADZIA.

Otóż panna Barbara była na tej samej pensyi, tylko w wyższej klasie, w trzeciej już podobno, bo miała lat trzynaście. Wiesz, jak to na pensjach starsze panienki pomiatają malcami, i u was w gimnazjum pewnie jest toż samo. Ale panna Barbara nie była taka, jak tylko zobaczyła biedną małą sierotkę, mizerną, zapłakaną, zaraz się z nią zapoznała i zaopiekowała, jak najlepsza starsza siostrzyczka. Ona także nie miała ani ojca ani matki, przyjeżdżała na pensyą, jako stypendystka i kierowała się na nauczycielkę. Mama i dziś czasem miewa łzy w oczach, gdy wspomina o dobroci tej ukochanej swojej Basi, jak ją nazywa. Trzeba ci wiedzieć, że mama była wtenczas trochę grymasna i rozmazana.

ADAŚ.

Mama, grymasna i rozmazana! to nie do uwierzenia.

JADZIA.

No, nie była przecież jeszcze wtenczas mamą, tylko małą Alinką. Ale ta Basia zawsze umiała do niej trafić tak, że o wszystkich grymasach przy niej zapomniła. Starsze panienki nieraz się wyśmiewały z Basi, przezywały ją nianką, ona żartowała tylko z tego, bo była nadzwyczaj wesołego usposobienia, największy pustak, jak mówi mama, a przytém taka dobra i tkliwa. Raz mama bardzo zachorowała, dostała jakiejś gorączki, tyfusu podobno; położono ją w osobnym pokoju, jedną służącą wyznaczono, ażeby jej pilnowała, a inni wszyscy uciekali od tego pokoju, jakby od miejsca zapowietrzonego.

ADAŚ.

Oto dopiero niepoczciwość!

JADZIA.

Ależ wcale nie, inaczej być nie może na pensyi, bo inne panienki mogłyby się zarazić. Leży tedy biedna mama sama jedna, głowa ją boli okropnie, pić jej się chce, a ta służąca ciągle tylko śpi, i trzeba wołać na nią z całej siły, żeby usłyszała. Noc zapadła, cicho, straszno, mama usnąć nie może, służąca chrapie, aż tu drzwi cichuteńko się otwierają i wchodzi... zgadnij kto.

ADAŚ.

Niezawodnie ta dobra Basia; a wiesz, że i ja ją kochać zaczynam.

JADZIA.

Przyszła bez pozwolenia i przesiedziała całą noc przy mamie, a nazajutrz przełożona ją porządnie wyłajała, ale w końcu dała się przeprosić i pozwoliła Basi pozostać przy mamie przez cały czas jej choroby. I od niej więc teraz wszyscy uciekali, a jej tego było właśnie potrzeba, bo nie odstępowała mamy ani na chwilę, i nawet uczyła się przy jej łóżku, bo nauki zaniedbywać nie mogła, a tu na lekcję jej chodzić nie pozwolili, żeby panienek nie zaraziła. Doktor potem powiedział, że jeśli mama wyzdrowiała, to zawdzięcza to troskliwości Basi. Możesz sobie wyobrazić, jak się od tam obie pokochały.

ADAŚ.

Doskonale to sobie wyobrażam. Ależ proszę cię, jakim to sposobem się stało, że my tej przyjaciółki mamy dotychczas nigdy nie widzieliśmy nawet?

JADZIA.

Basia, gdy ukończyła pensyą, została zaraz nauczycielką i dostała się do domu jednych państwa, którzy wyjechali na mieszkanie do Wiednia. Tak tam z nią byli zadowoleni, że wszystkie córki wychowywała po kolei, co jedna wyrosła, to druga uczyć się zaczynała i spędziła tam lat z dziesięć, potem zaraz przeszła do innej rodziny polskiej, także w Wiedniu zamieszkałej. Mama tymczasem wyszła za męża, i dwie przyjaciółki przez cały ten czas się nie widziały, chociaż ciągle korespondowały z sobą.

ADAŚ.

Resztę już wiem, nie potrzebujesz opowiadać; mama spotkała się z nią teraz w Cieplicach, pisała to przecież. Jednak, powiem ci, że coraz mniej rozumiem ten przypisek mamy. Dajno ten list, odczytamy go raz jeszcze.

JADZIA (wyjmuje list z kieszonki i czyta).

„Moja droga Jadziu! Nie potrzebuję ci mówić, jak mię w pierwszej chwili przeraził list twój, w którym donosisz, że panna Walerya, nauczycielka twoja, musiała wyjechać nagle do chorągiewki ciężko matki. Wiem, że wam się nic złego nie stanie, Adaś da sobie radę ze swoim korepetytorem, tém bardziej, że wakacje kończą się niezadługo, ty jesteś bardzo rozsądna, mogę ci więc zaufać zupełnie, a Małgorzata i Janowa takie dobre i przywiązane służy. Niepodobna jednak, abyś dłużej niż dni parę sama z niemi była w domu i chciałam natychmiast wyjeżdżać z Cieplic i do was powracać. A jednak przykroby mi było niezmiernie opuszczać ojca, który jest jeszcze bardzo osłabiony i cierpiący, chociaż kąpiele tutejsze widocznie mu pomagają, a lekarze upewnniają, że przyjdzie do zdrowia. A wtém, gdy ja się tak będę, jak anioł przez Opatrzność zesłany, zjawia się moja Basia ukochana, ta Basia z pensyi, o której wiesz dobrze, moja droga Jadziu. Właśnie w tej chwili jest bez miejsca, chociaż ją rozrywają, ale nie przyrzekła jeszcze stanowczo nikomu i dowiedziawszy się o moim kłopotcie, zaraz ofiarowała się do was pojechać i przebyć z wami cały czas aż do mojego powrotu. Ona tu przyjechała w towarzystwie jakichś znajomych, sama leczenia nie potrzebuje, więc propozycją jej przyjął z wdzięcznością. Wyjeżdża jutro raniutko, we wtorek będzie już na miejscu, wyslijcie konie na stacyą”.

ADAŚ.

Dotąd wszystko jest bardzo dobrze, a teraz czytaj ten przypisek.

JADZIA (czyta).

„Mnszę cię jednak przestrzedz, moja droga Jadziu, że Basia znacznie się zmieniła od czasów pensyonarskich. Dobra

jest zawsze, zacna, rozumna, pocziwa, ale zrobiła się trochę dziwaczka, wymagająca, zgryźliwa, jakieś ma szczególniejsze fantazy; może więc w pierwszej chwili niemiłe na was wywrze wrażenie. Pamiętaj jednak, Jadziu, jakie ja mam dla niej obowiązki wdzięczności, czém ona była dla mnie na pensyi i staraj się te wszystkie dziwactwa znosić cierpliwie, aby jęj dobrze było z wami. Nie wątpię, że to uczynić potrafisz."

ADAŚ.

I cóż ty na to?

JADZIA.

Dziwi mię to trochę; ale jeżeli panna Barbara jest zawsze dobra, rozumna, zacna, jak powiada mama, to przecież można jęj trochę dziwactw wybaczyć. Ja pewnie nie zawiodę zaufania mamy i potrafię to zniesć cierpliwie.

JADZIA

No, niezadługo się dowiemy... Ach, już słyhać turkot! czyżby to była ona? Trzeba wyjść na spotkanie, chodźmy, Adasiu.

ADAŚ.

Idź ty może sama, Jadziu, ja się schowam, niby mnie w domu niema.

JADZIA.

Jakżesz można, przecież wiedzieliśmy, że pociąg o tęg porze przychodzi, nie powinienes się z domu wydalać teraz właśnie. Chodźmy, Adasiu.

(Adaś się ociaga, Jadzia go chce schwycić za rękę, a gdy tak się certują oboje, drzwi się otwierają i wchodzi panna Barbara).



Gniezno (st. 15).

ADAŚ.

A jeżeli tych dziwactw jest więcej, niż trochę.

JADZIA.

Choćby i najwięcej, gdyby mi nie wiem jak dokuczyła, przypomnę sobie tylko, jaka ona dobra była dla mamy i zniosę wszystko.

ADAŚ.

Ja sobie łatwo poradzę, przeniosę się ze swoim korepetytorem do oficyny i tyle mnie będziecie widzieli

JADZIA (z udaną żalością).

A mnie tu zostawisz na pastwę?

ADAŚ.

Prawda, że to nie wypada, trzeba się będzie trzymać w odwodzie na wszelki wypadek.

Scena III.

(Ciż sami, panna Barbara w płaszczyku podróżnym i kapeluszu, w szafirowych okularach, z torebką w ręku. Adaś patrzy na nią, stojąc na środku pokoju).

JADZIA (podbiega zakłopotana).

Ach! przepraszam panią...

PANNA BARBARA (sucho i oziębło).

Za cóż mnie przepraszasz, moja panienko? Jeszcześ mi nic złego nie zrobiła, co tam potem będzie, to zobaczymy, a tymczasem możemy się przywitać po przyjacielsku (podaje jęj rękę, którą Jadzia chce pocałować, panna Barbara nagle ją porywa w objęcia, potem, jakby sobie coś przypomniała, odpycha ją lekko i zwraca się do Adasia). A to jest pan Adam, podobno wielki swawolnik, czego ja wcale nie pochwa-

lam w młodzieży (Adaś całuje ją w rękę w milczeniu). Ale cóż to znów takiego? czy nie umiecie mówić? cóż za wychowanie! (wskazuje na Jadzię) Ta wyrzywa się z jakąś niedorzecznością, a teraz oboje patrzą na mnie, jak na roroga, trzech słów nie umieją powiedzieć. No, wychowanie, żal się Boże! (Adaś cofa się i staje przy drzwiach, dając znaki porozumienia Jadzi, a ta chrząka, chce coś mówić, panna Barbara jej przerywa).

PANNA BARBARA (siadając na fotelu).

Nawet mię siedzieć nie prosicie, ładne przyjęcie!

JADZIA.

Ach, przepraszam panią...

PANNA BARBARA (przerywa jej).

Znowu przepraszam! Ta dziewczyna widocznie nic innego mówić nie umie.

(d. c. u.)

Sposób leczenia chorych u Indian.

Dziwny zaiste jest sposób, jakim Indianie leczą swych chorych, a co dziwniejsze jeszcze, że medycyna, jaką posługiwali się oni wówczas, gdy Europejczycy odkryli Amerykę, do obecnych czasów nie postąpiła prawie na drodze rozwoju.

W opisach wyspy San-Domingo znajduje się wiele ciekawych szczegółów z życia i obyczajów dzikich. Jeśli naprzykład kto zachoruje, wezwany lekarz nie przybywa zaraz, gdyż wprawdzie musi się do tych odwiedzin przygotować, w tym celu wpycha sobie w nos jakiś odurzający proszek roślinny, proszek ten spowoduje silny zawrót głowy i tak odurza lekarza, iż ten może prawie wtedy największe brednie; potem czerni sobie twarz i ręce węglem zmieszany z łojem, w usta kładzie kostkę owiniętą w gałganek, albo też kawałek mięsa, dopiero po tych przygotowaniach udaje się do chorego.

Przybywszy na miejsce, zatrzymuje w pokoju dwie tylko osoby, innym zaś każe się oddalić, następnie bierze kilka roślin, wyciska z nich sok, obchodzi chorego kilka razy dokoła, przykładając usta swe do ciała chorego i niby to wysysa zeń chorobę, potem zaczyna prawie niestworzone rzeczy, a Indianie sądzą, że rozmawia z bogiem domowym Cemis i radzi go się, w jaki sposób leczyć chorego.

Niekiedy lekarz kręci się, krzywi, pluje, jak gdyby coś niesmacznego zjadł, wyjmując z ust kostkę lub mięso i pokazuje choremu, objaśniając przytém, że musiał zjeść coś niezdrowego; czasami znów mówi, że bóg Cemis karze go za to, iż mu nie złożył ofiary, lub że za mało modlił się do niego. Wyjętą kostkę pozostawia lekarz przy odejściu choremu, a ma ona, podług ich przekonania, cudowne posiadać własności. Jeżeli chory umrze, wtedy rodzina zmarłego żąda, aby się lekarz wytłómaczył, jakimi środkami leczył swego pacjenta, przytém wyciskają sok z roślin *gucio* i mieszają z proszkiem utartym z włosów i paznokci nieboszczyka, mieszankę tą wpychają w nos lub usta zmarłego i zapytują go, czy lekarz nie przyczynił się do jego śmierci, powtarzając to dopóty, dopóki ktoś nie odpowie im tego, co chcą usłyszeć.

Niekiedy znów kładą umarłego na rozpalonych węglach a nakrywszy go czemśkolwiek, zapytują, czy nie z winy lekarza umarł, wtedy ktoś znów odpowiada za nieboszczyka, iż sam nie wie; wszyscy więc odchodzą i powracają dopiero w kilka dni, gdy ciało pali się już na dobre, wtedy to patrzą, jaki jest kierunek dymu, i tak: jeżeli dym idzie prosto do góry, to znaczy, że chory powinien był umrzeć, jeżeli zaś skieruje się ku chacie lekarza, to tłómaczą sobie, iż tenże spowodował śmierć, przeto zasługuje na karę; idą tedy tłumnie do niego, a wyciągnawszy z domu, biją, kopią, kaleczą, słowem w straszny obchodzą się z nim sposob; jeżeli po tém lekarz przyjdzie jeszcze do siebie, gdy się krewni nieboszczyka o tém dowiedzą, znów starają się pochwycić go, łamią mu wtedy ręce lub nogi, wyłupiają oczy, dopóki na śmierć nie zameczą. Wszystkie te barbarzyńskie zwyczaje pochodzą z braku oświaty, obecnie misye cywilizacyjne dążą do tego, aby usunąć te starodawne obrzędy, zniszczyć tradycje i zabobony, a natomiast rozszerzać światło wiary i nauki, i natchnąć tym sposobem lepsze i szlachetniejsze pojęcia.

Helena Bojarska.

WYPRAWA PO ZŁOTE RUNO.

PRZYGODY WĘDROWCÓW W AMERYCE.

(Dalszy ciąg).

— Rzeka ta złota ogromne wrażenie wywarła na dziecinnej mojej wyobraźni, a gdy teraz wspomnienie to przebudziło się w mojej pamięci, sądziłem zrazu, że Indianin opowiadał mi tylko bajeczne jakieś podanie. Poszedłem jednak do niego i zacząłem go się rozpytywać dokładniej o wszystko. Minno upewnił mię, że to, co mi niegdyś mówił, nie jest wcale bajką, lecz najczystsza prawda, że on sam na własne oczy tę rzekę widział i zbierał bryłki złota, któremi dno jej jest wyłożone. Pokazał mi wreszcie naszyjnik, złożony z tych bryłek szczerozłotych, w który często się stroi, przyniósł go właśnie z tej dalekiej wędrowki. Chcąc mi dać dowód przychylności swojej dla mnie i dla pamięci mego ojca, Minno przyrzekł zaprowadzić mię do miejsca, gdzie płynie owa rzeka. Przyjąłem z wdzięcznością propozycję pocziwego Indianina i oto, jak widzisz, ojczy, wybrałem się na wzór starożytnego Jazona po runo złote.

— Przypominam sobie — rzekł misyonarz — że i mnie Minno coś o tém wspominał; ale on podobno zupełnie inną drogą dostał się do tej złotej rzeki, przebył wprzód krainę Teksas, potem Nowy Meksyk. Dla czegoż ciebie inaczej prowadzi?

— Bo go prosiłem, aby wybrał drogę najprostszą i najkrótszą, chociażby miała być daleko trudniejszą do przebycia.

— Otóż to właśnie jest może nierozważne postanowienie. Nie powinienbyś, mój synu, zwiększać dobrowolnie i bez potrzeby i tak już dość wielkich niebezpieczeństw tego przedsięwzięcia. Zapuszczając się w głąb krainy nieznanej, narażasz się na spotkanie z dzikimi plemionami krajowców, a wiesz, że oni nie przepuszczają Europejczykom. Czyż będziesz w stanie im się oprzeć z pomocą kilku towarzyszy?

— Nie mogę zważać na niebezpieczeństwa, gdy mi przedewszystkiem o pośpiech idzie. Ta droga jest krótsza o kilkaset mil, a to bardzo wiele znaczy.

— Oby Bóg modłów moich wysłuchał, jedyna to jest pomoc, jaką ci ofiarować mogę — rzekł kapłan, ściskając serdecznie rękę młodzieńca — zasługujesz na to, aby nadzieje twoje się ziściły, gdyż w szlachetnym i pięknym celu powziąłeś ten zamysł i nie chciwość tobą powoduje. Przez te pięć dni wspólnej naszej podróży poznałem cię gruntownie i szczerze pokochałem. Smutno mi teraz będzie rozstawać się z tobą, zwłaszcza, że nie wiem, czy kiedykolwiek będę miał wiadomość, jak ci się powiedzie; może się nigdy więcej nie spotkamy w życiu.

— A więc stanowczo chcesz się rozstać z nami, ojczy, jak przekroczymy te góry?

— Nie mogę zmienić postanowienia, nie złoto pragnę zdobywać, lecz dusze ludzkie dla prawdziwego Boga, drogi nasze rozejść się muszą.

Noc zapadła tymczasem, ojciec Anzelm i Paweł zbliżyli się do obozu; Tomasz dokładał drewna do ognia, Karol rozmawiał z Indianami. Potem wędrowcy zasiedli do skromnego posiłku i zjadali ze smakiem potrawę z wiewiórek i suchary w wodzie rozmoczone. Powietrze oziębiło się nieco, dwaj Indianie otulili się w swoje kołdry i do snu się ułożyli na ziemi, Tomasz i Karol poszli za ich przykładem. Misyonarz z Pawłem długo jeszcze czuwali, rozmawiając półgłosem; i oni wreszcie usnęli. Przekonani, że na tych samotnych wyżynach nie było nigdzie w pobliżu, ani zwierząt drapieżnych, ani dzikich krajowców, nie widzieli wędrowcy nasi potrzeby urządzać straży na noc.

Już od godziny wszyscy we śnie byli pogrążeni, gdy dwa muły spętane i pozostawione o dwadzieścia kroków od ogniska, nastroszyły uszy niespokojnie i łby wyciągnęły w stronę sosnowego lasu, ciemniejszego o paręset metrów dalej. Po chwili postać ludzka wynurzyła się z gęstwiny i zbliżała się zwolna do obozu, aż w końcu zatrzymała się w miejscu, gdzie

resztki płonącego ogniska rozświetlały ciemności nocne. Gdyby który z wędrowców był się przebudził, rozpoznałby przy tym świetle Indyanina.

Człowiek ten stał przez czas jakiś nieruchomy, potem ostrożnie podszedł bliżej jeszcze do śpiących. Był niedużego wzrostu, miał na sobie obcisłe spodnie z jeleniej skóry, kolorową frenzlą oszyte i rodzaj bluzy luznej z tkaniny wełnianej w pasy popielate i czarne, zwykły ubiór krajowców z plemienia Komanszów; długi nóż w ozdobnej pochwie z kory drzewnej zwieszał się od skórzanego jego pasa; strój głowy Indyanina składał się z dziwnego wieńca koralowego, z którego sterczały do góry małe, żółte piórka, bujna jego włosy posplatane były w liczne, drobne warkoczyki. Mógł on mieć około lat piętnastu co najwyżej. Z ust jego rozchylnych wyglądały zęby białe, równe, oczy błyszczące patrzyły trwożliwie dokoła.

Na macie, która wędrowcom naszym służyła za stół i za obrus, pozostały dwa duże suchary. Indyanin pochwycił je zręcznym ruchem i zaczął się w tył cofać, z twarzą zawsze do obozu zwróconą. Miękkie jego obuwie najmniejszego szelestu nie sprawiało i żaden ze śpiących się nie poruszył. Dopiero gdy doszedł do drzew, odwrócił się nagle i znikł w gęstwinie, a muły uspokoiły się po chwili; blaski ogniska dogasły zwolna i żadna już żywa istota nie ukazała się tej nocy na polance.

II.

Spotkanie z niedźwiedziem.

Wędrowcy zerwali się o świcie, przebudziły ich przerażliwe wrzaski orłów, które latały wysoko w powietrzu, zakreślając kręgi ponad gniazdami swemi, sterczącymi na szczytach skał, a potem chyżo spuszczały się w głąb doliny. Karol zerwał się na równe nogi i wykrzyknął z podziwu. Cała polanka pokryta była białym szronem.

— Ależ to wcale nie ciekawy widok — mówił Paryżanin, dzwoniąc zębami — taki sam szron widziałem przecież i w swojej ojczyźnie, nie potrzebowałem po to jechać aż do ciepłych krajów. Jeżeli tak dłużej potrwa, to my tu chyba zamrzniemy. A jednak, czy mi się śniło, czy na prawdę mówił nam wczoraj pan Paweł, że znajdujemy się obecnie na tej samej szerokości geograficznej, pod którą leży Alger.

— Wcale ci się to nie śniło, Karolu.

— A toż chyba kula ziemską przez noc na odwrót się przekręciła.

— Wszakże ci już tłumaczyłem, że w Ameryce pod tą samą szerokością geograficzną klimat jest wszędzie zimniejszy, aniżeli w starym świecie. A nie zapominaj także, że to miejsce, na którym w tej chwili stoimy, wzniesione jest na 1500 metrów ponad poziomem morza; nie też dziwnego, że zimniej tu jest znacznie, niż u stóp tych wyżyn.

— To niby ma znaczyć, że w miarę, jak my się wznosimy, temperatura spada. Szczególniejszy koncept! Nie może mi się jednak w głowie pomieścić, dla czego nam tu tak zimno, jeżeli znajdujemy się o 1500 metrów wyżej od bliźnich naszych, zamieszkających w dolinach, a tym samym o tyleż metrów bliżej słońca?

— A jednak rzecz to bardzo prosta; tu powietrze rozrzedzone mniej ciepła pochłania. Ale bierzmy się do śniadania, a potem w drogę, bo niema czasu do stracenia.

Tomasz, już zupełnie ubrany, ze strzelbą nawet przewieszoną przez ramię, zajęty był przyrządzaniem herbaty. Ojciec Anzelm związał znów w wałek poły swojej sutanny, gdyż inaczej podarłaby się na strzepy na krzakach, przez które wędrowcy przedzierać się musieli. Dwaj Indyanie, należący do orszaku Pawła, nie zważali na chłód poranny, zdjęli nawet koldry, zastępujące płaszcz krajowcom amerykańskim na wpółcywilizowanym i starannie ładowali na muły paki podrózne, zawierające zapasy żywności, różne narzędzia i odzież na zmianę.

Stary Minno był wysokiego wzrostu, twarz miał ściągłą, duży nos orli, czarne oczy, należał on do plemienia Osagów, które niegdyś zaludniało bardzo licznie wybrzeża Arkansasu. Dziwaczne rysunki pokrywały obnażone jego plecy, piersi

i ramiona, a na łbie wygolonym powiewał u góry długi kosmyk włosów, zwany skalpem i pozostawiony umyślnie, jako znak odwagi i wyzwania *). Miał wyraz twarzy poważny i niezmiernie spokojny, wzrok prawie nieruchomy, postawę okazałą, posagową. Strój jego składał się z obcisłych spodni skórzanych i takiegoż szerokiego pasa, za którym była zatknęta siekierka, nóż w pochwie i fajka z cybuszkiem. Na szyi miał wspaniały naszyjnik, złożony z trzech sznurów bryłek złotych, które przyniósł niegdyś z owej sławnej wycieczki do rzeki złotej. Naszyjnik ten podtrzymywał dużą muszlę, znak symboliczny plemienia Osagów, gdyż według starożytnego podania, Wielki Duch wydobyl z muszli protoplastę ich rodu. Minno miał uszy u brzegów pozebione i pokłute, ozdobione błyszczącymi kółkami i paciorkami.

Towarzysz jego, znacznie niższego wzrostu, miał typ fizjonomii całkiem odmienny, twarz bardziej okrągłą, nos krótki, policzki wystające, czoło niskie, ocienione czarnymi, nastrzępionymi włosami. Należał do plemienia Kriksów, zamieszkujących dawniej na pograniczu Luizjany, a następnie wypartych przez cywilizacyą na północ, do krainy Osagów. Wampa, tak się zwał drugi Indyanin, ubrany był prawie tak samo, jak Minno, ale nie miał malowideł na ciele, ani uszu wycinanych i podziurawionych. Świeżo nawrócony na religią chrześcijańską, wielkie poszanowanie okazywał dla ojca Anzelm, nie dochodząc jednak nigdy do uniziości, gdyż krajowcy Ameryki północnej, niepodobni w tym do swych braci z południa, nadzwyczaj są dumni.

Wampa, tak samo, jak i Minno, dość płynnie mówił po francuzku. Obaj w najpoufalszych byli stosunkach z Tomaszem, który sposobem życia i obyczajami najwięcej się do nich zbliżał. Karol zadziwiał ich swoją gadatliwością i ustawicznym śmiechem, Indyanie, a nawet i Europejczycy, zamieszkujący bezludne puszcze, nawykli są do milczenia i nieustannego zagłębiania się w myślach własnych, najczęściej bowiem pędzą życie samotne. Minno i Wampa jednozgodnie przezwali Karola na swój sposób „Językiem ruchliwym”.

Tomasz podał towarzyszom herbatę, obejrzał się potem za sucharami, które porwało tajemnicze zjawisko nocne, suchary te przygotował on umyślnie z wieczora na śniadanie. Nie znalazłszy ich jednak, spojrzał podejrzliwie na Wampę, który zrozumiał to nieme zapytanie, nie raczył jednak na nie odpowiedzieć i odwrócił się pogardliwie. Po skromnym posiłku, gromadka wędrowców, na znak Pawła, puściła się w drogę. Młody wódz z misjonarzem ruszyli naprzód, z nimi szli Tomasz z Karolem, na nich tym razem przypadła kolej prowadzenia mułów. Minno i Wampa, udrapowani w swoje koldry, ze strzelbami przez ramię przewieszonemi, zamykali pochód i stanowili straży tylną małej karawany.

Szron zniknął już zupełnie pod wpływem promieni słonecznych, gdy wędrowcy nasi weszli znowu w gęstwinę leśną i postępowali po śliskim gruncie, usypanym sosnowymi igłami. I ludziom i mułom co chwila groziło poślizgnięciem i utratą równowagi. Karol nieustannie gawędził, śmiał się i narzekał.

(d. c. n.)

Rozwiązanie zagadki historyczno-geograficznej

z N-ru 44 „Wieczorów Rodzinnych”,

nadesłane przez 12 letniego Wróbla z nad Karajca, który otrzymał książkę pod tyt: „Pamiętnik sieroty” Pauliny Krakowowej.

Gnieżno jestto gród niezmiernie starożytny. Nazwa jego przypomina najdawniejsze podanie z dziejów polskich, bo gdy Lech przywędrował z Krocacy nad brzegi Warty, znalazł tu na pobliskich, wyniosłych i olbrzymiego wzrostu drzewach, liczne gniazda orle. Nazwał więc gród, który

*) Dzicy Amerykanie w bitwie chwytają przeciwnika za ten kosmyk i nożem obcinają mu skórę naokoło głowy, nazywają to skalpowaniem. Zdjęte z czaszki skalpy stanowią zdobycz wojenną.

zbudował „Gniezmem” to jest „gniazdem”, uczynił go pierwotną stolicą Polski, a orla białego z rozpiętymi skrzydłami za herb swój przybrał i na chorągwiach swego rycerstwa kłaść kazał.

W Gnieźnie to, 5-go Marca 966 r. Mieczysław I, z namowy żony swęj Dąbrówki, księżniczki czeskiej, chrzest przyjął, wśród wspaniałego obrzędu. Tam też na górze Lecha, gdzie stała świątynia pogańskiej Nii, wznosił kościół Wniebowzięcia P. Maryi, sławną w całym kraju katedrę gnieźnieńską.

Katedra równie wspaniała jest z wierzchu, jak wewnątrz. Cały gmach ten ogromny pokryty jest miedzią. Wchodzą się przez pyszne śpiżowe podwoje, w Kijowie przez Bolesława Chrobrego zdobyte: są one gładko ulane, z wypukłą rzeźbą. Kościół po obu stronach liczne ma kaplice, po większej części z grobami arcybiskupów. Cztery ogromne pozłacane słupy z nakryciem wznoszą się nad ołtarzem i nad trumną srebrną, zawierającą zwłoki Św. Wojciecha. Głowa zaś świętego męczennika ma osobny relikwiarz złoty, ozdobiony dwudziestu kilku szafirami, po większej części tak wielkimi, jak jaja kurze. Zwłoki Dąbrówki, żony Mieczysława I-go, spoczywają także w katedrze gnieźnieńskiej.

Odwiedziny Ottona III, cesarza niemieckiego, który gościł trzy dni w Gnieźnie, ważne znaczenie miały w dziejach. Otton III chciał nawiedzić zwłoki Św. Wojciecha, a Bolesław Chrobry przyjął go z wielką wspaniałością.

Przez trzy dni zastawiano stoły złotem i srebrnymi naczyniami, a te Bolesław każdego dnia po uczcie do skarbcza cesarskiego odnieść rozkazał. Działo się to w r. 1000-ym po nar. Chr. P. I od tego to roku Gniezno stało się *metropolią* Polski, to jest miastem, gdzie mieszka arcybiskup-prymas, zwierzchnik innych biskupów, katedra gnieźnieńska stała się jakoby matką wszystkich polskich kościołów.

Otton III, będąc w Gnieźnie, sam koronę swoje cesarską włożył na głowę Bolesława Chrobrego, ale następcy jego Bolesława królem uznawać nie chcieli, więc Chrobry wysłał potajemnie posłów do Papieża, i koronę, którą mu z Rzymu przywieźli, ukoronowanym został przez arcybiskupa gnieźnieńskiego, w asystencji wszystkich biskupów swojego państwa.

W owym czasie Gniezno musiało być możném miastem, gdyż wysyłało 9,500 wojowników. Bogactwa katedry gnieźnieńskiej wzbudziły chciwość Czechów, i w r. 1038, w czasie bezkrólewia po Mieczysławie Gnuśnym, wpadli do Gniezna, złupili miasto i świątynię. Chcieli też zabrać ciało ziomka swego Św. Wojciecha, ale oszukano ich i zamiast ciała Św. Wojciecha wzięli ciało brata jego, błogosławionego Gaudentego. Zabrali wtedy Czesi krzyż szczerozłoty, który Bolesław Chrobry darował katedrze w upominku, odważywszy go trzykroć osobą swoją. Wzięli trzy tablice złote, drogiemi kamieniami wysadzone, dar tegoż króla, z których jedna 300 funtów ważyła. Zabrali nawet dzwony katedry, i stało się Gniezno obrazem spustoszenia; gdy tymczasem Brzytysław, książę czeski, wlokąc za sobą sto wozów skarbami ładowanych, z tryumfem do Pragi powrócił.

Jednak Kazimierz Odnowiciel koronował się jeszcze w Gnieźnie. Późniejsi królowie już w Krakowie się koronowali. W pierwszej połowie XIV wieku zrabowali Gniezno Krzyżacy i odtąd już nigdy podźwignąć się nie zdołało. W r. 1709, Szwedzi wnieśli do Gniezna morową zarazę, a w 50 lat później straszny pożar zniszczył większą część miasta.

Dzisiaj Gniezno jest miastem powiatowém i odzwierciedla się jak i dawniej w jeziorze Jelonek i 2-ch innych jeziorach, a leży na siedmiu pagórkach. Miasto opuszczone i nędzne, znaczenie jego stanowią jedynie wspomnienia i piękne świątynie. Między innemi, kościół Św. Jerzego jest dawną świą-

tynią pogańską, w której Mieczysław I czcił fałszywe bogi, później w jeziorze utopione.

(Oprócz tego bardzo dobre rozwiązania nadesłali: 14-to letnia Jaskółka z nad Wisły — 14 letnia Łątka — 14 letnia Jutrzenka z nad Dniepru — 13 letnia Konwalia — 13 letnia Świtezianka — 12 letnia Mrówka z Welezina — 11 letnia Najada z nad Słuczy — 9 letnia Topolka z nad Kodemy — i bez pseudonimów Zosia A. z Lesznawoli — Emilia P. z Lipna — Antoni K. z Warszawy.

SZARADA (Chmurka).

Gdy ci zabawki ktoś *pierwsze-trzecie*,
Zaraz ci *wszystko* na myśli, dziecię.
Lecz gdy *pierwszego* nie ma już zgola,
Zaraz ci wraca minka wesoła,
I jak stróż anioł, moje kochanie,
Wnet *drugie-trzecie* przy tobie stanie.
Ale po czymś *drugim i pierwszym*,
Zapłaczesz znowu zalem najszczerzym.

Łamigłówka zgłoskowa.

(Od Maryni L. z Chomiczek dla Jadzi L. w Kopciewiezach).

Z następujących zgłosek: by—co—chód—cki—don—dye—er—er—in—inn—ka—ko—le—na—na—nest—no—ni—niec—o—pój—raz—ro—ra—robr—śni—tém—wierz—yuk—za—za—ża—ułożyć wyrazy: 1. Drzewa. 2. Rzeka w Austrii. 3. Opera włoska. 4. Przysłówek. 5. Strona świata. 6. Część twarży. 7. Wyraz używany przy grze w karty. 8. Roślina zamorska. 9. Rodzaj modlitwy. 10. Obrońca Jagielly. 11. Rzeka w Rosyi. 12. Spójnik. 13. Kraj w Azji. 14. Ciecz. 15. Kryjówka. 16. Imię męskie. Pierwsze litery, od góry do dołu, utworzą tytuł Pisma, ostatnie, od dołu do góry, tytuł powieści w niem drukowanej.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 52-go.

Szarady:

E — me — ryk.

Zagadki:

Żóraw.

Łamigłówki w kwadraciku:

S	T	O	S
T	O	R	T
O	R	D	A
S	T	A	S

TREŚĆ: Rodzina rybacka wiersz (z drzeworytem). — Królewicz tułacz, powieść przez M—a.. — Panna Barbara komedyjka — Sposób leczenia chorych u Indyan p. H. Bojarską. — Wyprawa po złote runo, przygody podróżników. — W Dodatku: Lilia powiastka (z drzeworytem). — Gdzie najlepiej wierszyk (z drzeworytem). — Jak się komu spodoba, powiastka. — Anielka, wierszyk p. H. Bojarską. — Co o tém myśleć? powiastka. — Nauczyciel w kłopotach. — Dodatek książkowy: Prześladowanie, powieść z angielskiego naśladowana.